

60k 1944 pierwsze dni stycznia. Był to już mój dziesiąty wyjazd z Wilna do Warszawy podczas okupacji niemieckiej. Jechałem tam dość czysto, stało się wszystkim w sprawach kwatermistrzostwa. Nie było to takie proste, gdyż przejazd przez dwie granice wymagał specjalnej przepustki: jedna to w Oranach do Reichu, druga w Malkinii z Reichu do Generalnej Gubernii. Trudno byłoby prosić Ministra, Gebitzkomisarza na Wilno o takie pozwolenie. Nasze legalizacje rosły, zrywała to dawać prosto. W zależności od potrzeby dawała komplet dokumentów jakiejś niemieckiej organizacji wojskowej np. Organizacji Thot wraz z kartą urlopową i opieką: "In dienste der Deutsche Wehrmacht." Czasem lepiej i bezpieczniej jechało się w mundurze wojskowym nawet z karabinem. /przypisek: dwóch młodych karierów wileńskich w kolbie takiego karabinu mieli skrytki na przewożone meldunki i dokumenty. /trudności jednak były z nawiązaniem kontaktu z łączniczkami warszawskimi - narażało je to na miano szwabskich ścierek. Choć tył dokumentami własnej produkcji mieliśmy przydzielone z K.G. specjalne przepustki zagraniczne, robione na wartościowych papierach dla Niemców w Berlinie, a dla nas podrobiał Londyn. Przepustki te były bardzo rzadko wydawane przez władze niemieckie i w dodatku przez inne okręgi zasypane. W 1942 roku dwukrotnie jechałem na fałszywą przepustkę. Przy przekraczaniu granicy w Malkinii zdążyłem skonstatować, że nasza seria przepuszczających granic, czterech posiadała nielegalne londyńskie "March-Iesscheiny", miały kolor troszeczkę ciemniejszy od niemieckich. W 42 roku jechałem wyłącznie na dokumenty wojskowe, własnej produkcji. Takie "papierki" pozwalały pozostawać zginąć w tłumie urlopowiczów. W ich pocie, ^{ad} pospiesznych, można wytkorzystać z punktów wyżywienia na dworcach kolejowych, nawet dostać sycy prowiant na drogę t. zw. "Marchpferfleugung" w postaci bułek, kiełbasy, sera, papierosów na odpowiednią ilość dni w zależności karty urlopowej. W danym wypadku na dwa dni przed wyjazdem otrzymałem od łączniczki taki wojskowy komplet dokumentów. Obecny przy tym był Strach /inż. Edward Stefanowicz, dowódca szary niższych dowódców, chłopców z przetrzutu i osłony, późniejszy dowódca kompanii szkolnej w 6-tej Brygadzie Konara. Gdy się dowiedział, jakiego rodzaju są te dokumenty, był oburzony, że tak się naraża ludzi, że trzeba się postarać o legalne dokumenty. Powiedział mi, że stało tak ja działy. Zebrał moje aktualne dane wraz ze świadectwem pracy z zakładu, gdzie fikcyjnie byłem inspektorem-elektrotechnikiem i z zaopiniowaniem i energią pojechał wyrobić dokumenty. Tak on to robił, ile go to kosztowało, niewiem. Fakt faktem, że na następny dzień wieczorem dostarczył autentyczne dokumenty na wyjazd do Warszawy w sprawie - jak ^{klas} mówią do fabryki napraw samolotów wojskowych, w której niby pracowałem. Taki już był Strach - zawsze nieobliczalny.

Taki więc sposób na ostatni przejazd do Warszawy miałem autentyczne i legalne dokumenty. Oranach na granicy kontrola celna. Stary kapitan niemiecki pyta mnie, ile mam pieniędzy. Wolno było przewozić tylko 500 ostmarek. Wyjąłem portfel i przedłożyłem mu 10 banknotów po 50 Mk poza tym były drobne, do których się przyczepiłem. Powiedziałem, że woźle ich nie biorę pod uwagę, gdyż są bez znaczenia. Przez 20 minut zrobił mi wykład na temat, że jeżeli jest rozkaz i pozwolenie na 500 Mk to nie może być nawet pół marki więcej.

Słuchałem tego 'austryjackiego' a raczej pruskiego gadania i myślałem sobie, gdybyś ty wiedział, jak ja wysoko cenię te wasze rozkazy i zarządzenia. W Białymstoku przesiadka. Skorzystałem z przerwy, by nadać tekegram do Zygmunta w Warszawie, poprostu uprzedzić go o swym przyjeździe, by zamówił mi konspiracyjne spotkania z poszczególnymi komórkami. /przypisek: Zygmunt - Kazimierz Augustowski w tym czasie kierownik Bazy Wileńskiej w Warszawie/. Blankiet wypełniłem, tekst jednak, czy sformułowanie jego nie podobało mi się, ziałem go wk kuleczkę i chciałem wyrzucić do kosza na śmieci. Kosza nigdzie nie znalazłem, na podłogę nie chciałem rzucić, więc wsunąłem ją do kieszeni. Ta nieszczęsna kuleczka papieru, zapomniana w kieszeni w drodze powrotnej odegra zasadniczą rolę. Dlatego to małe wydarzenie tak szczegółowo opisuję. Wypisałem nowy blankiet i nadałem. W Warszawie się dowiedziałem, że telegram ten i tak nie doszedł do adresata. Po przyjeździe do Warszawy pojechałem na meiling Zygmunta. Mieszkał wówczas przy ulicy Glogera 4 m. 17. u pani Emalii Miłosz. Mój najbliższy przyjaciel w tych konspiracyjnych czasach, sporo pięknych jak również i ciężkich chwil przeżyliśmy razem. Po wykupieniu go z gestapo przez jego matkę za sporą ilość złota ulokowałem go na bazie okręgu wileńskiego w Warszawie. Była to niejako ambasada okręgu wileńskiego przy K.G. na terenie Warszawy. Sam pomysł utworzenia takiej bazy był mój, rozbudował ją i doprowadził do perfekcji Zygmunt. Dostał za to pochwałę z K.G. a inne okręgi polecenie utworzenia podobnych baz. Zadaniem bazy byłog gromadzić materiały, przeznaczone dla okręgu w specjalnych magazynach i ekspediować je wszelkimi możliwymi środkami do Wilna. Poza tym lokować na terenie Warszawy członków jak i kuryjerów K.O. Wilna i moutować im kontakty z odpowiednimi komórkami. Te spotkania ze starym i wypróbowanym przyjacielem należały do najmiłszych w czasie wojny. Długo w noc siedzieliśmy i omawiali nowości wileńsko-warszawskie. P. Emilia Miłosz była również dobrą znajomą z czasów konspiracji z Wilna, zania nie przeniosła się do Warszawy. O ile pamiętam omawiałem wówczas w kwatermistrzostwie K.G. sprawy produkcji granatów t.zw. sidolek, którą mieliśmy dobrze rozwiniętą, sprawy finansowe-podwyżkę budżetu w związku z rozbudową oddziałów leśnych, z BIP-en sprawę drukarni polowej ii. Po kilku dniach tą samą drogą na te same dokumenty wracałem do Wilna. Pociągi osobowe kończyły swój bieg w Białymstoku. Do pociągu wsiadałem już na dworcu Zachodnim, gdyż na Głównym czy na Wileńskim trudno się było dostać z powodu tłoku. Tłumy spekulantów szturmem zdobywały miejsca w wagonach, Byli to ludzie, którzy zaopatrywali Warszawę w żywność po paskarskich cenach i sami z tego żyli. Dziwnym trafem pociąg przed graniczną Małkinią zwałniał i z jakichś tam powodów zatrzymywał się. Większość tych stałych pasażerów na tej trasie momentalnie spływała wydeptanymi ścieżkami w przytorowe krzaki i laski. W Małkini formalności graniczne dla tych nielicznych, którzy jechali dalej na Białystok. W Białym stoku pociągi osobowe kończyły swój bieg. Dalej już szły pociągi towarowe i transporty wojskowe. W każdym transporcie wojskowym był jeden wagon z osłoną, składającą się z kilkudziesięciu żołnierzy. Przy pomocy wódek można się było dogadać z dowódcą tej eskorty, by przyjął pasażera do swego wagonu. Tak i ja zrobiłem. Przy wódcie dowiaduję się, że eskorta to Ślązacy, umiejący mówić po polsku. Dowódca, sierżant Kx Werner pochodził z Gliwic. Opowiadał mi o powstaniach śląskich i ubolewał nad obecną sytuacją Polski. Po dłuższym sondowaniu doszedłem do wniosku, że można zaryzykować propozycję zakupu broni. Sprawę

Zgodził się na to. Podane dokładne ceny na granaty, pistolety i automaty. Zaznaczyłem, że jeżeli będzie większa ilość, to zapłacimy więcej. Pamiętam, że cena jednostkowa pistoletu automatycznego miała wynosić coś ponad 1000 Mk/Ostmarek/ jeżeli będzie to większa ilość, to nawet półtora tysiąca, w grę wchodziły niebezpieczne manipulacje przekazywania i kontaktów. Dokładnie to samo groziło za jeden pistolet, co i za dziesiątki. Sprawę kontaktu odłożyłem na pożegnanie, gdyż zauważyłem, gdyż zauważyłem, że po wypiciu zrobił się zbyt wylewny. Położyłem się spać, gdyż noc już była późna, prosiłem jedynie, by mnie przed Wilnem obudzili. Obudzili mnie w samym Wilnie, gdy pociąg już stał na stacji. Nie było więc czasu wracać do poprzedniej propozycji. Szybko zebrałem swoje rzeczy i wyskoczyłem na peron. Za mną wysiadło również dwóch żołnierzy z karabinami i szli razem ze mną do wyjścia. Powiedziałem im jeszcze, że dla wojskowych jest inne wyjście, mimo to szli ze mną dalej. Myślałem, że nie zrozumieli mnie i więcej na nich nie zwracałem uwagi, zadowolony, że już jestem na miejscu w Wilnie i to bez żadnych przeszkód. Przy wejściu do gmachu dworca stał niemiecki żandarm i sprawdzał dokumenty przechodzących. Pokazałem mu swoje, przejrzał i kazał iść. Wówczas dwaj żołnierze, którzy szli za mną, kazali mi zatrzymać mnie. On powiedział im, że wszystko jest w porządku - mówiąc o moich dokumentach. Coś tam mu poszeptali i wraz z eskortującymi mnie żołnierzami zaprowadził mnie do pomieszczenia żandarmerii na dworcu. Gdy tylko zobaczyłem, że żołnierze kazali mi zatrzymać, lotem błyskawicy zrozumiałem, że mnie sprzedają. Hala dworcowa pełna żołnierzy, na peronach również sprost ich się kręciło, w przejściu dwóch żołnierzy i żandarm - żadnej szansy ucieczki. W pomieszczeniu żandarmerii poki Werner /bo i ten się tu zjawił/meldował o swoim z 'Soldatenpflichten'; zdążyłem wyjąć biułek japońską z za wstążeczki kapelusza z notatkami i niepostrzeżenie zjeść ją. Zaraz nastąpiła szczegółowa rewizja. Na nią byłem przygotowany. Gdy wyjęli z zakamarków kieszeni kuleczkę papieru, zrobioną z nieszczęsnego telegramu i przeczytali ją, skamieniałem. Stałem zupełnie obojętny, wewnątrz huczała burza i rozpacz. Dalej wbrew wszelkim przypuszczeniom i zwyczajom w takich okolicznościach zabrali mi zwykłą brudną chusteczkę do nosa. We szwie tej brudnej szmatki była ukryta mała czarna kuleczka nikotyny. Ostateczny i niezawodny środek ucieczki i obrony. Pigułki te preparował Londyn, dostawali je ci, którzy mieli dużo do powiedzenia. Nie wchodząc w to, czy użyłbym ją, czy nie, posiadanie jej zawsze przy sobie właśnie na takie okazje, człowiek czuł się pewniejszym siebie. Ostatecznie każdy zdawał sobie dobrze sprawę z tego, co go czeka, gdy się dostanie w łapy gestapo z dowodami winy, jak w danym wypadku. /Poprzednio Londyn przysłał nam pigułki z cjanu potasu w gumowych kapsułkach. Były dużo większe i niepewne. Sam wypróbowałem jedną taką na psie i okazało się, że duży wilczur jedynie zachorował, ani myślał zdychać./ Po tych formalnościach żandarmi wyprowadzili mnie wraz z Wernerem, wsadzili do samochodu i powieźli do centrali żandarmerii na ulicę Styczniovą. W samochodzie Werner siedział obok mnie z automatem na kolanach - eskortujący żandarm zwrócił mu uwagę, by automat odłożył dalej ode mnie. W centrali było dwóch oficerów, major i kapitan, starszych wiekiem i bardzo nobliwych. Po wstępnych wyjaśnieniach kapitan zasiadł do maszyny i pisał zeznania Wernera. Silnie podkreślając swój żołnierski obowiązek i oddanie Furerowi opowiadał bardzo szczegółowo, jak namawiałem go do sprzedawania broni z dokładnym podaniem cen. Pominął oczywiście swoje wynurzenia na temat Polski, jak również picie wódki. Błady, zdenerwowany i to bardzo nie miał odwagi spojrzeć mi w oczy. Na końcu prosił, by go szybko, by go szybko zwolnić, gdyż transport wojskowy, który eskortuje na front, czeka na dworcu na niego.

Doszedłem do wniosku, że Werner po moim położeniu się spać w wagonie zwierzył się z moich propozycji swoim podkomendnym. Możliwe, że nie wszyscy czuli się Polakami, może wśród nich była hitlerowsko-gestapowska wtyczka, może poprostu bali się prowokacji i zmusili Wernera do wydania mnie. Zupełnie już opanowany i spokojny czekałem aż skończy i wyniesie się. Dopiero, gdy Werner był w drodze do swego transportu ja zacząłem zeznawać, będąc przekonany, że nie prędko będą mogli mnie skonfrontować z nim, zanim go odnajdą na rodyjskich frontowych bezdrożach. W takich wypadkach fantazja nie próżnuje, cała sztuka w tym, by to wszystko nie kolidowało z logiką. Dość swobodnie opowiadałem im, jak za wódkę Werner zgodził się przewieźć mnie do Wilna. W drodze pociągając nie wąsko, jak się to dzisiaj mówi, rozmawialiśmy o handlu i przemyśle z dokładnym podaniem, jakie to były napoje wysokokowe i na jakich towarach najlepiej można zarobić. Bez specjalnego nacisku dodałem, że najlepszymi znawcami mi tej branży są Litwini/niemieccy współpracownicy. Ci właśnie specje wysokiej klasy twierdzą, że najkorzystniejsza spekulacja, to handel btonią i tu podałem dokładnie ceny krtawakke rynkowe litewskie. Kapitan, który spisywał na maszynie te moje wyznania, zatrzymał się i z oburzeniem długo powtarzał: 'najlepsza spekulacja to handel btonią.' Mówiłem to sugestywnie i z dużym przekonaniem, że Werner pijany ale mnie zrozumiał, gdyż i sam nie najlepiej po niemiecku mówię, że opowiadałem jedynie o sytuacji handlowej na rynku litewskim. Zupełnie niewinnie dodałem, że prawdopodobnie i Werner, mając takie idealne warunki, handelkiem nie gardzi i dlatego tak chętnie słuchał moich wywodów z tej dziedziny. Starszy-major nawet powiedział: 'rzeczywiście od niego czuć było wódkę, on był pijany - przerwa t. zn. że jego zeznania nie można brać poważnie. Jasne, że tego ostatniego wniosku należało jedynie się domyślać, Młodszy urwał krótko: 'er der grösste Bandit, agent, skupujący broń dla bandytów w lesie. Kazali mi się rozebrać do naga, będzie lanie pomyślałem. Obejrżeli mnie dokładnie i kazali się ubrać. Prawdopodobnie szukali znaków szczególnych - blizn po ranach. Oni kończyli prołokół a ja siedziałem na kszesle i zastanawiałem się, co też oni ze mną zrobią. Siedziałem naprzeciw okna, przed którym pó ulicy przechodzili ludzie. W pewnym momencie zobaczyłem Irenę Augustowską, siostrę Zygmunta/Kazimierza Augustowskiego/, którego adres warszawski znaleźli u mnie w kieszeni w kuleczce papieru. Ten nieszczęsny adres był dla mnie największym ciosem. Major się ubrał i kazał mi iść z sobą. Prowadził mnie do gestapo, którego centralną siedzibą znajdowała się na pla Łukiskim, odległym jedynie o kilkadziesiąt metrów. Potem przez wiele dni gorzko wyrzucałem sobie, że wówczas staremu nie spróbowałem uciec, mimo bardzo niekorzystnych warunków. W gmachu gestapo zebrała się cała sfera tajniaków, każdy przypatrywał mi się ze wszystkich stron i jakoś żaden nie rozpoznał Jelonka, którego znali dawno, jako wysokiego blondyna w okularach - okularów wówczas nie miałem. Taki Giżauskas przysięgał się kurierkom, które wpadły, że będzie mnie miał przy swoim stoliku/Wojtuśiewi - Basi Dudyczowej/. Widocznie go tam nie było. Jeden z nich zaczesał mnie na różne sposoby, by odkryć we mnie coś znanego. Potem zaczęli studiować moje dokumenty i sprzeczać się między sobą, po czym poznaje się fałszywe. Pamiętam, że jeden z nich udawał, iż fałszywy 'Ausweis' ma jedną literę niedociśniętą. Te sprawy i mnie interesowały bardzo, więc i ja wsadziłem głowę między dyskutujących, by zobaczyć po czym można poznać dowód naszej roboty. Dopiero brutalne odepchnięcie mnie przez gestapowca uświadomiło mi, gdzie i w jakiej sytuacji się znajduję.

Po wyprowadzeniu mnie z gestapo wsadzono mnie do auta żandarmerii i odwieziono do więzienia Łukiskiego. Tam po dokonaniu niezbędnych formalności poprowadzili do celi więziennej. Najważniejsza z tych wiekami uświęconych formalności to szczegółowa rewizja osobista. W drodze do celi, zauważyłem, że mam na ręku mały zegarek, którego jakimś cudem nie zauważono. Nie wiem do dziś, jakimi motywami się kierowałem, gdy pokazałem go dyżurnemu i powróciliśmy do izby przyjęć, by go zdać. Ile razy w życiu później ten fakt sobie przypominałem, tyle razy zawsze uczciwie powiedziałem sobie: 'idiota! I chyba tak ocenili mnie wówczas stróże więzienni. Tego zegarka później tak mi brakowało. Wyfasowałem siennik, talerz, i łyżkę i osiadłem w celi. Drzwi z judaszem i karnikami ze złowrogim trzaskiem zamknęły się za mną. Pozostałem sam ze swymi myślami i dwoma kolegami wspólnej kryminalnej doli. Były to dwa starsze wilniuki z Nowego Świata. Jeden siedział za to, że nie mógł się dokładnie rozliczyć z ilości kocy w szpitalu, w którym pracował, drugi również niemniej ważne przestępstwo miał za sobą. Całymi dniami dyskutowali wspaniałym wileńskim narzeczem 'w ta pora' o tym, czy je przestępstwo jest większe, kto i ile dostanie za to i kiedy wróca do domu, w przerwach mówili tylko o jedzeniu, w myśl przysłowia, że głodnemu chleb na mli. A głodnie byliśmy stale. W przeciągu kilku dni słyszałem kilkadziesiąt razy historię tego pamiętnego dnia jednego z nich. przyszedłem do domu zziębnięty i zmęczony, jak, jak opowiadał, w chałupie było ciepło, żona akurat gotowała zacierkę, taką gęstą na prawdziwym mleku wiejskim mleku, bo żona miała znajomą ze wsi, która to mleko przynosiła. Właśnie tę zacierkę malała do talerza, taką pachnącą i dymiącą, gdy drzwi się otworzyły i policja mnie zabłała. Zacierka pozostała na stole, żona z płaczem ledwo zdążyła dać mi pół bochenka chleba i słoniny, jakie było w domu. Z tej zgrzy- *Vi ka. u. s. l. t. k. s.* zoty zjadłem to wszystko w pierwszym dniu w 'turmie. Taka smaczna ciepła i gęsta zacierka pozostała na stole. Nie będę opisywał, jak te dwa stare egzemplarze wileńskiego folkloru i swego rodzaju wygi, gdyż nie pierwszy raz jedli chleb więzienny, kobinowli machorkę, dodatkową zupę i przewidywali różne ważne zdarzenia, opierając się jedynie na smach. Najbardziej ciekawe jest to, że opierając się na tak irracjonalnych podstawach, jakim jest sen, jakoś w większości im się te przewidywania sprawdzały. Wszystko to było dalekie ode mnie, wewnątrz myśli płynęły burzliwym potokiem, co będzie dalej ze mną. Po takiej wpadce mogłem się jedynie spodziewać jak najbardziej wyrefinowanych badań w gestapo i koniec na Ponarach. Lasy na wzgórzach ponarskich były miejscem szara masowych straceń. Nikotyngę mi zabrano, na drugi dzień miałem już połowę żyletki, dobrze ukrytą we szwie kołnierza. Jeżeli nie wytrzymam tych gestapowskich metod, to pozostanie mi jeszcze zawsze możliwość podcięcia sobie żył. Stale czekałem wezwania na badania i cisza. Najbardziej męczyła mnie świadomość, że adres warszawski Zygaunta wpadł. Od rana do wieczora tylko o tym myślałem. Słodu nawet nie czułem, tak byłem tym pochłonięty. Sto razy przemyślałem, co będzie, jeżeli u niego zrobią kocięzki, kto może wpaść, i kto z tych osób może się załamać. Późno w noc wykończony wprost tymi rozważaniami, zasypiałem. Sen to najpiękniejszy czas w więzieniu. Jakie śliczne obtzy i przeżycia zbeztroskiego dzieciństwa wówczas przeżywałem. Zawsze stwierdzałem, że w takich momentach ciężkich i zwrotnych w życiu, w smach wracałem do przeżyć dzieciństwa. Tym smutniejsze było przebudzenie rano w twardej więziennej rzeczywistości. Widocznie organizm btonił się w ten sposób przed samozatrutowaniem się. Napięcie nerwowe stale wzrastało, ciągle czekałem na badania, które i tak były nieuniknione, a z których chciałem się dowiedzieć, w jakim kierunku pójdą. Wyobtażnia przesuwiała mi obrazy aresztowań w Warszawie i to może być powodem tej głuchek ciszy wokół mnie. Każdy, kto pracował w podziemiu, dobrze rozumie, jak straszną jest świadomość, że się jest powodem tortur i śmierci innych, zwłaszcza bliskich współkolegów i zawałiło się, piaw, kła której wszyscy tak ofiarnie z narażeniem życia pracowali.

Po trzech dniach twardo postanowiłem znaleźć per fas et nefas sposób ostrzeżenia Zygmunta o zagrożeniu i okręgu o moim aresztowaniu i miejscu pobytu. Nadarzyła się do tego i dobra sposobność. Czwartego dnia rano jeden z moich więziennych kolegów oświadczył, że chyba już dziś pójdzie do domu, bo śniło mu się, że dostał nowe buty i chodził w nich po ulicy. Ponieważ wszystkie okoliczności wskazywały, że jest jedynie na krótko zatrzymany do wyjaśnienia jakiejś drobnej sprawy, więc na wszelki wypadek na małej karteczce z braku ołówka wykluczałem meldunek następującej treści: 'Uprowadzić Zygmunta drogą radiową, że adres u Emilii wpadł. Pozdrowienia Jelonek. Data.' Pomogłem mu kartkę dobrze schować w ubtaniu i podałem mu jeden z moich adresów w okolicy jego mieszkania. Nawet niewiele się zdziwiłem, gdy po obiedzie go wypuszczono. Kartka rzeczywiście trafiła do jednego z moich współpracowników i dość ~~skomplikowaną~~ długą drogą służbową ~~trafiła~~ dotarła do Ludwika/ppłk. Lubomira Kszeszowskiego/zastępcy komendanta okręgu Wilka. Wilk był w tym czasie w terenie, wizytował jeden z oddziałów leśnych. Dla niego ten meldunek bardzo lakoniczny byłby zupełnie jasny. Ludwik tak zredagował treść depechy ~~do~~ do Warszawy, że jej tam nie rozumiano. Możliwe, że powodem tego było to, że depecha taka szła przez wiele rąk i była szyfrowana i potem rozszyfrowywana. Droga - Wino - Londyn - Warszawa i potem przez szereg ogniw pośrednich, zakonspirowanych do łączniczki zbazy wileńskiej włącznie. Wilno z Warszawą bezpośredniej łączności nie miało, gdyż łączność ~~na~~ wprost była zbyt daleka a z odbicia krótkich fal za bliska, jak na sprzęt, którym dysponowaliśmy. Krótko: Warszawa znajdowała się akurat w martwej strefie i dlatego posługiwaliśmy się stacją pośrednią w Londynie. Niezależnie od wysłania kartki wpadłem na inny pomysł, symulacji ataku ~~na~~ ślepej kieszki. Taka choroba dawała szansę przeniesienia do szpitala na operację poza obręb więzienia, a więc znów jakieś możliwości ucieczki i wysłania kuriera do Warszawy. Gdy raz się tej myśli uchwyciłem, skoncentrowałem wszystkie siły do jej zrealizowania. Współwięźniowi kazałem powiedzieć dyżurnemu, że nie jem, gdyż jestem chory i jedzenie jemu oddaję. Od niego dowiedziałem się, jakie są objawy ataku ślepej kieszki. Rzeczywiście tak się przejęłem tą rolą, że będąc u felczera więziennego dostałem gorączki. Kazał mnie przyprowadzić rano na następny dzień, gdy będzie lekarz. Prawie całą noc nie spałem, obmyślałem swoją rolę chorego przed lekarzem. Po sto razy powtarzałem sobie, co będę mówił lekarzowi, jak się zachowywał. Jak na jawie widziałem drogę z więzienia do szpitala św. Józefa. Pomogła mi czteroletnia codzienna włóczęga po wileńskich ulicach. Plan ~~można~~ miasta mogłem rysować z pamięci, zwłaszcza jego centralnych dzielnic, nawet usytuowanie poszczególnych domów. Rozwzględniłem więc wszelkie warianty ucieczki z trasy i przejścia przez ~~bramy~~ i ogrody daleko aż hen na drugi koniec miasta. Pamiętam, że było 5 czy 6 wariantów w pierwszej fazie. Każdy wariant w zależności od okoliczności rozgałęział się na wiele innych. To intensywne obmyślanie dało mi dużo satysfakcji, za mgłą widziałem wolność i możliwość działania z przerwaniem się do Warszawy włącznie, gdyby tego zachodziła potrzeba. Przypuszczałem, że na tak krótkim odcinku, gdyż szpital był zupełnie blisko, poprowadzi mnie jeden strażnik. W dogodnym momencie strzele go z całej siły w oko, konieczne w oko i w nogi. Kilka razy złapałem się na tym, że przy tych rozważaniach macham z całej siły ręką z zaciśniętą pięścią i zębami. Cały ranek już tylko o tym myślałem. Jasne, że śniadanie ukradkiem zjadłem, by nie opaść z sił. Kolega po niedoli, jakim by on nie był, solidarnie mi pomagał. Około jedenastej z tych rozmyślań

wyrwał mi głos dyżurnego, wzywający do lekarza. Kości rzucone, wszystko zależy od dobrego zagrania i zagrałem chyba dobrze. Oczywiście lekarzowi nic nie mówiłem o ślepej kiszce, prosiłem jedynie, a raczej wprost błagałem o lekarstwo na ból brzucha, gdyż trudno to dłużej znosić. Lekarz długo badał, obmacywał, naciskał - ja w odpowiednich momentach pojękiwałem, mówiłem, jak ten ból po nagłym odjęciu palca naciskającego na podbrzusze rozchodzi się promieniście, wreszcie powiedział: "Nie o uśmierzenie bólu tu chodzi, ale o życie, potrzebna jest natychmiastowa operacja ślepej кишки." Całą siłą woli wstrzymywałem się od okazania radości, raczej udawałem przerażonego i zgnębionego tą wiadomością. Poszedłem skulony z bólu do celi i czekałem na odesłanie mnie do szpitala. W wyobtni jak film przyspieszony płynęły szczegółowe obrazy, tak dokładnie przepracowanego planu. Ile radości z pierwszych sukcesów tej wielkiej gry. Przed godziną trzecią przyszedł do celi inny dyżurny, młody Litwin, umiejący dobrze po polsku, by mnie zabrać do szpitala. Jako poważnie choremu pomagał mi pozbierać rzeczy i z tymi marnelami wlokłem się powoli skrzywiony z bólu przez długie korytarze i podwórza, gdy wewnątrz chciało się krzyknąć z radości, ponosiło mnie, by tylko prędzej wydostać się z tych przeklętych i ponurych murów. Po zdaniu siennika, miski i łyżki zaprowadził mnie dobiura więziennego, gdzie wydano mi jakieś dokumenty. Po schowaniu dokumentów zabrał pistolet i wsadził go do wewnętrznej kieszeni cywilnego płaszcza. To mnie bardzo ex ucieszyło, gdyż z doświadczenia wiedziałem, jak trudno szybko wyjąć pistolet z wewnętrznej kieszeni. Urzędnicy z politowaniem na mnie patrzyli, to mnie cieszyło, jak aktora, gdy gra mu dobrze idzie, a gra szła o wysoką stawkę. Przed bramą więzienia mój anioł stróż wyjął pistolet z wewnętrznej kieszeni płaszcza i nie spiesząc się włożył do prawej kieszeni bocznej, zdażyłem się zorientować, że to siódmka belgijska, FN. Troche mi to nie było na rękę ale zbytnio się tym nie przejąłem. Druga niespodzianka była bardziej przykra - dyżurny poszedł po mojej prawej stronie, gdy w wyobraźni i w swoich obliczeniach miałem go z lewej strony i ja z całej siły waliłem w oko prawą ręką, łatwo zrozumieć, ile od tego ciosu zależało, a tu przyjdzie się go rąbnąć niezręcznie z lewej ręki. I tym nie załamywałem się. Posuwaliśmy się powoli ulicą Więzienną w kierunku pl. Łukiskiego. W pewnym momencie mój opiekun spytał mnie, czy będę uciekał. Po pewnym namyśle spytałem go, zamiast odpowiedzieć, czy operacja ślepej кишки, to ciężka sprawa. Jakoś głupio mi było teraz, gdy tylko czekałem na dogodny moment, by go godnie huknąć w gębę i uciekać, zapewniać go, że nie będę tego robił. On widocznie miał, że wziętem to pytanie za żart i nie odpowiedziałem, bo jak taka chora niedołęga mogłaby uciekać. Dochodzimy do rogu ulicy Bańskiej, pierwsza przewidywana możliwość pryśnięcia. Odpadła z tej prostej przyczyną, że za nami szło a raczej zbliżyło się trzech innych strażników więziennych, w tym jeden z autometem na piersiach. Coś tam nawet na mój temat po litewsku rozmawiali z moim konwojentem. Było to między godziną trzecią a czwartą, zmiana warty, na ulicy widziałem więcej strażników więziennych i to chyba był największy pech. Weszliśmy na duży plac Łukiski. Tutaj nie było gdzie uciekać, ogromna pusta przestrzeń, której jeden bok zajmował ex ponury gmach gestapo z lewej strony placu targowy nad Wilią, przede mną kościół i szpital otoczony wysokim murem. Przepłynięcie Wilii w styczniu w moich planach nie było i do niej był spory kawałek pustej przestrzeni. Pozostał jeszcze już jeden atut, drugi narożnik pl. Łukiskiego przy ul. 3-go Maja. Było to miejsce najbardziej dogodne. Trzy uliczki były pod ręką: Kasztanowa, św. Filipa, obydwie zxx ślepe, zakończone ogrodami i Świętojakubska, teren wyjątkowo dobrze mi znany, gdyż tutaj mieszkało sporo moich przyjaciół, między innymi Zygmunt z ex swymi siostrami i mamusią. Dochodzimy, nerwy napięte, serce bije przyspieszonym rytmem i mocnym rytmem, z ex patrzę na strażnika, już zacisnąłem pięść i sprężyłem rękę i widzę: naprzeciw nas o kilkanaście metrów z ul. Świętojakubskiej miarowitym krokiem wychodzi trzech żandarmów niemieckich z automatami i białymi na piersiach. Do żandarmów mam wyraźnego

pecha, przemknęło mi przez głowę jak błyskawica. Zaraz weszliśmy do bramy szpitala, gdzie również była jakaś straż. Teraz jestem zupełnie bez planu z perspektywą wycięcia mi zdrowej ślepej кишки a z rozpatroszonym brzuchem trudno będzie uciekać. Nie tylko chorobliwą ale i głupią minę musiałem wówczas mieć. Zaprowadzono mnie do izby przyjęć, jakiś chirurg litewski mnie badał, musiałem konsekwentnie dalej symulować atak ślepej кишки. Lekarz po zbadaniu kazał przygotować salę operacyjną i wyszedł. Dyżurny siedział znudzony w kącie, mało go to wszystko obchodziło. Koło mnie krzątał się jakiś sanitariusz. Spytałem go cicho, by litewski cerber nie słyszał; Polak? Polak odpowiedział. Proszę natychmiast biedz na ul. 8 Garbarską 4 i powiedzcie Marianowi Czechowskiemu/Szary/, że Jelonek jest w szpitalu przed operacją na ślepkę кишки. Bez wahania znikł. Jakies siostry również robiły przygotowania przedoperacyjne. Po pewnym czasie powrócił lekarz i zaczął się przebierać. Gdy mył ręce, wpadli do sali Piotr i Szary, sanitariusz sobrze się spisał i nigdy się nie dowiedziałem, kto to był. Piotr i Szary od razu do mnie z pytaniem, kiedy zachorował em. Piotr - Żmudzin, dopiero w Wilnie nauczył się mówić po polsku, coś tam na uspokojenie powiedział strażnikowi po litewsku - pewnie, że są krewnymi skazańca na porżnięcie. Po cichu powiedziałem mu, że to lipsa. Co, doktor K Lipa? Nie znał niuansów języka polskiego. Musiałem mu dokumentnie wytłumaczyć wszystko, by wszystko zrobił, aby nie doszło do operacji. Operacja została odłożona. Mnie odprowadzono do dyżurki przyjęć, zabrano ubranie, wykąpano i już w bieliźnie szpitalnej odprowadzono na ogólną salę. Łóżko dostałem na interwencję dyżurnego przy samych drzwiach, by mógł mnie widzieć z korytarza, gdzie się na podany mi krzesle ulokował. Drzwi były stale otwarte, chyba i to było życzeniem władz więziennych. Z dużą ulgą ulokowałem się na wygodnym łóżku i zupełnie nie zwracałem uwagi na wlepione we mnie oczy, a musiała to być nielada sensacja dla tych znudzonych chorych. Sprawy potoczyły się tak, że musiałem wypracować zupełnie nowe plany. Najważniejsze, że koledzy już wiedzą, iż jestem aresztowany w Wilnie. Byli przekonani, że zostałem z jakichś tam powodów dłużej w Warszawie. Wiem, że zrobią wszystko, by mnie wyrwać z tych opresji, w jakie się wpakowałem. W niecałą godzinę później salę obchodził młody ksiądz w komży, którego znałem, gdyż w jego mieszkaniu mieliśmy lokal spotkań. Zatrzymał się i przy moim łóżku, zamienił kilka zdań i dyskretnie wsunął dwie kanapki pod kołdrę. Zrozumiałem, że chorego musiałem grać w dalszym ciągu, więc kanapki skonsumowałem dopiero, gdy wszyscy już spali. Jakie one były smaczne pó więziennym, dozowanym wikcie. Z powodu tych chorobowych okoliczności również kolacji szpitalnej prawie nie tknąłem. Wieczorem wszystkim chorym siostra rozdała termometry, by zmierzili temperaturę. O ile się zorientowałem, to oficjalnym powodem odłożenia operacji była temperatura, więc trzeba ją mieć. Potrzeba jest matką wynalazków, z fizyki wiadomo, że tarcie wywołuje ciepło, wystarczy więc banieczkę rtęci porządnie, by temperatura się podniosła. Cała sztuka polega na tym, by tak to zrobić, aby nie być zauważonym przez innych i co ważniejsze nie przesolic, gdyż bardzo łatwo temperaturę podnieść do 42 stopni, a trudno przypuszczać, by słudzy Kx Bskulapa w to uwierzyli nawet w wojennych warunkach. Podnosić temperaturę trzeba było w sposób kontrolowany. ~~Wskrzętkx~~ Odwróciłem się do ściany i dyskretnie obserwując termometr podpedziłem termometr do 38 stopni. Taką temperaturę odnotowała siostra. Na korytarzu kręcił się i flirtował z siostrami mój opiekun. Poszedłem na zwiady w przydzielonym mi szlafroku. Moja sala była na jednym końcu korytarza a ubikacje ~~mandragix~~ i łazienka na drugim. Szedłem do ubikacji, mój opiekun już nowy za mną, do ubikacji nie wszedł, pozostał na korytarzu przed drzwiami. Okna były zasłonięte

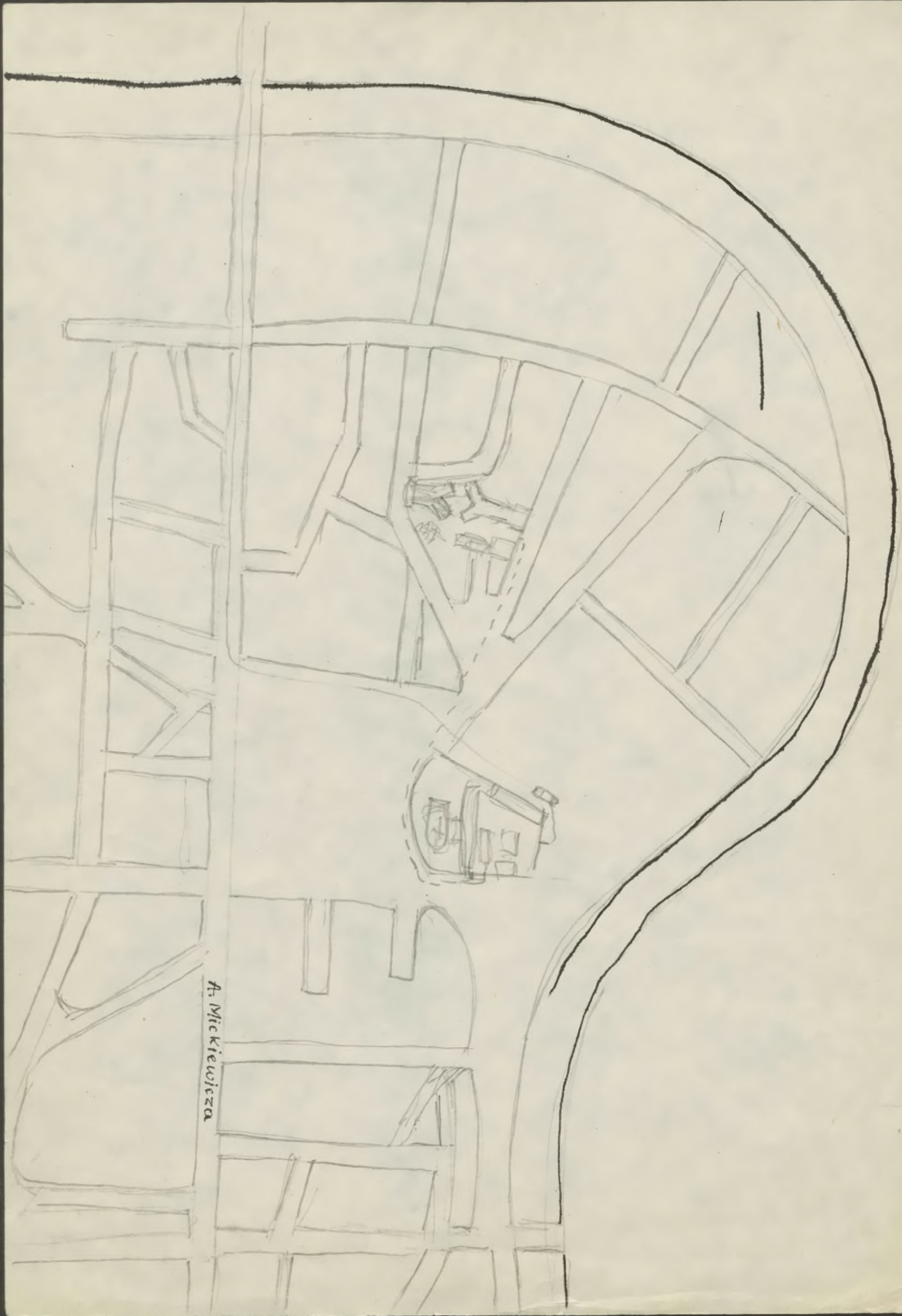
szczelnie, obowiązało zaciemnienie. W drodze powrotnej znowu mi towarzy-
szył. Zasnąłem bardziej optymistycznie nastrojony z przekonaniem, że ra-
no nie zbudzi mnie przeraźliwy gładki gwizdek na poranny apel więzien-
ny. Po śniadaniu podeszła do mnie siostra gospodarcza, bardzo przystoj-
brunetka i z uśmiechem podała mi ręcznik. W ręczniku znalazłem karte-
czkę od Szarego. Pisał, bym był spokojny, gdyż zrobią wszystko, by mnie
uratować. Na karteczkach, nie pamiętam, jak mi ją dostarczono, napisałem,
że dziękuję za pomoc, proszę o ostrzeżenie Zygmunta. Jeśli chodzi o mnie,
prosiłem, by się zbytnio nie angażowali - jeśli będzie potrzeba, to pójdę
na Ponary. Pisałem to w tym sensie, gdyby moja ucieczka czy odbi-
cie miało narazić innych na aresztowania. Konendant Wilk zrozumiał to,
że nie chcę uciekać, tak mi przynajmniej potem powiedziano. Przy świetle
dziennym obejrzałem sobie przez okno ubikacji podwórze szpitalne od stro-
ny ulicy Świętojakubskiej. Ponad murem widziałem ulicę, ruch na niej
taki zwyczajny, codzienny, aż gorąco się zrobiło, gdy uświadomiłem sobie,
że wolność jest tak blisko. Mia doszedłem do sali na swoje miejsce, plan
w zarysach był gotowy. Po pewnym czasie poszedłem jeszcze raz obejrzeć
i utwierdziłem się, że sprawa nie będzie trudna. Zajrzałem do łazienki,
była otwarta - dyżurny spokojnie czekał pod drzwiami na korytarzu. Po
powrocie piszę kartkę, w której proszę, by na następny dzień ogodzenie
ósmej wieczorem czakano na mnie pod oknem ubikacji, w ewentualnie pod
murem szpitalnym z płaszczem i kapeluszem. Po południu zjawia się u mnie
w białym szpitalnym płaszczu Wrzos/Dzida Kafarska/ w roli narzeczonej.
O niej mogę tylko tyle powiedzieć: jeżeli przysłowie: gdzie diałbeł
nie może, tam babę pośle, zawiedzie, to u niej nie było wyjątku - dotar-
ła wszędzie. Pozostawiła mi zegarek i aprobatę mego planu. Chorych wi-
zytował codziennie lekarz w dość dużej asyście, nazywano go profesorem.
Zapytał mnie uprzejmie po polsku, jak się czuję, popatrzył na kartę, ja-
ka u mnie temperatura i już po litewsku kazał z operacją się wstrzy-
mać ze względu na tę temperaturę, tak przynajmniej ja to rozumiałem.
Przyszedł wieczór, znowu temperaturę podpedziłem prawami fizycznymi.
Po godzinie czwartej nastąpiła zmiana dyżurnych. Nowy okazał się du-
żo gorszy. Śledził mnie nieustannie złowrogimi oczami, śledził wszy-
stkich, ktokolwiek się tylko zbliżył do mnie, doprowadzał do ubikacji
i twardo wchodził do środka. Ten na pewno przekreślał mój prościutki
plan. Później dowiedziałem się, dlaczego był taki ostrożny. Przed dwoma
miesiącami uciekł mu jakiś więzień, więc teraz i na zimne dmuchał.
Dyżurni zmieniali się co osiem godzin. Prosty rachunek wskazywał, że na
następny dzień wieczorem zmianę obejmie liberalny dyżurny, więc plan
powinien się udać. Na następny dzień historia się powtórzyła z tem-
peraturą, obchodem lekarzy i kontaktami z przyjaciółmi. Ustaliłem, że
w łazience klucz będzie włożony od wewnątrz, by po wejściu do niej mo-
żna się było za od razu zamknąć. Na oknie za zasłoną miała być la-
tarka elektryczna, którą miałem błysnąć trzy razy przed wyskoczeniem.
Oczy dyżurnego mnie stale śledzą, ukradkiem śledzę zegarek, wskazówki
wyjątkowo wolno się przesuwają. Dochodzi godzina czwarta, drański dy-
żurny nerwowo chodzi po korytarzu a zmiany nie ma. Teraz już i dyżurny
często spogląda na zegarek - zmiana nie nadchodzi. Minuta za minutą
wloką się, jest już godzina siódma, zaczynam tracić nadzieję, czy wogó-
le przyjdzie. Zapłł się, czy wpaść pod samochód - licho wie, nie przy-
chodzi. W pewnym momencie siostra gospodarcza przechodzi korytarzem
przed drzwiami i lekkim skinieniem głowy daje znać, że wszystko goto-
we. Trudno opisać, jak ja to przeżywałem - pewno pomyślał, że stchórzyłem,
a w tym czasie tego rodzaju posadzenie najwięcej bolało. Przeszła go-
dzina ósma i zmiana nie przyszła. Zdawałem sobie sprawę, jaki kawał
urządza kolegom, jednak przez zbyt ni pospiech i ryzyko nie chciałem
całej sprawy popsuć. Myśl, że już dziś mogłem zająć się osobiście spra-
wą Zygmunta, gdyby nie ten kawał dyżurnego, sprawiała mi wprost fizy-
czny ból. W końcu uświadomiłem sobie, że czeka mnie nowy długi
dzień udawania, lawirowania i nowych niespodzianek. Rozumiałem i to,
że lekarze sięli również trujący oszech do zgryzienia, gdyż jak wytku-
maczyć władzom więziennym, fakt, że więzień wysłany na konieczną szy-

bką operację, leży osłabiony kilka dni w szpitalu beczynnym i kontaktuje się z wolnymi. Dwóch dyżurnych jest zajętych polowaniem jego w specyficznych warunkach. Przewidywania moje były jak najbardziej słuszne. Następnego dnia był niedziela, z rachunku wypadło, że wieczorem będzie służbista, więc ucieczka przy jego dyżurze praktycznie niemożliwa, chyba, że znowu zajdzie jakaś niespodzianka, tym razem na moją korzyść. Biednemu więźniowi wiatr w oczy, żadnej niespodzianki nie było i ucieczki również. Obawiałem się, że nerwowo się wykończę i zrobię jakiś krok fałszywy. Na następny dzień przy obchodzie profesor tylko spojrzął na ~~temperaturę~~ temperaturę i powiedział, że dziś będzie miał operację. Siostrą kazał wszystko przygotować do tego. Wiadomość, niezależnie że była spodziewana, zrobiła na mnie, jak na tonący, gdy mu się wyryła deska ratunku, mimo to zgnębionym głosem powiedziałem: "panie profesorze! widzę, że operacja dla mnie źle się skończy". Dlaczego pyta. W poniedziałek spotykały mnie największe nieszczęścia: w poniedziałek się urodziłem, w poniedziałek oblałem maturę, w poniedziałek mnie aresztowali i w poniedziałek mnie zarżniesz. Wszystko to była czysta blaga, ale chwyt był dobry, wszyscy się roześmiali i profesor powiedział: w takim razie operację odkładamy do wtorku. Teraz już twardo sobie powiedziałem: porzucić się nie dam niezależnie od okoliczności. Ktoby dziś wieczorem dyżurował skacze i uciekam. Z zewnątrz płynęły zapytania, co się stało, dlaczego nie skakałem. Ja musiałem się tłumaczyć, wyjaśniać, że to przypadek nie z mojej winy i t.d. a wszystko to było już mi wstrętne. Tym razem zmiana nastąpiła normalnie, liberalny dyżurny zjawił się na czas. Dla wprawy spacerowałem po korytarzu i z konieczności wdałem się w rozmowę z dyżurnym. Mówiłem im, że idę na stół więc będą mieli ze mną spokój. Tutaj czekała mnie niespodzianka. Dyżurny wprost prosi mnie, bym mu nie uciekał. Ja mam żonę i dzieci mówi mi. Udowadnia mi, że jeżeli nawet ucieknę, to pozostanie mi tylko pójście do lasu do bandytów. Miał na myśli nasze leśne oddziały - partyzantkę. Jednego nie wiedział, że sam się tam wyrwałem, bo miałem już dość tego czajenia się i hytryzowania przez cztery lata. Nie zapewniałem go, że nie będę uciekał. Nie wiedział, że czekają mnie Bonary, jeżeli nie ucieknę, a kto z pod rozstrzału nie będzie uciekał, jeżeli tylko będzie miał jakąkolwiek możliwość. Może widział jakiś ruch wokół mnie, może mu Liteini ~~powiedział~~ pracujący w szpitalu, powiedzieli, że się tu coś święci. Wiedział, jak silny jest polska organizacja podziemna, więc się prosto bał przeciwstawić, i miał rację. Piotr /Michał Warakowski/, kierownik "Rużni", który był w obstawie, powiedział; gdy nie udało mi się wyskoczyć: tu nie ma co czekać, trzeba wejść do środka z bronią, barbosa zadusić, a jego t.zn. mnie, zabić. Nie zdecydowano się naradzić na to, gdyż zbyt dużo ludzi mogło być narażonych na represje. Samodzielna ucieczka nikogo nie narażała oprócz uciekającego delikwenta, któremu i tak już nic nie mogło zaszkodzić. Nie mogłem doczekać się godziny ósmej, coraz częściej patrzyłem na zegarek, mimo, że nakazywałem sobie tego nie robić. Najważniejsze, by dyżurny niczego nie zauważył. W związku z przygotowaniem mnie do operacji na następny dzień rano, dyżurna siostra zrobiła mi lewatywę, chyba pierwszy raz w życiu tego rodzaju zabieg brałem i byłem tym bardzo speszony. Dostałem sporo pigułek, które na wszelki wypadek wyrzuciłem do spluwaczki, oczywiście tak, by siostra nie widziała, potem zmierzyła mi temperaturę. Tym razem już kawałów z termometrem nie robiłem. Na łóżku leżałem spokojnie, jak najspokojniej, jakiś czas udawałem, że drzemię. O godzinie ósmej dla uspokojenia się jeszcze trochę przeczekałem, potem jak najsłodszy się podniosłem i wyszedłem na korytarz. Zupełnie szła powoli, nawet ociężałe szedłem przez korytarz. Dyżurny wstał z krzesła i poszedł za mną, udałem, że go nie widzę i zupełnie niezwracam uwagi na niego uwagi. Ja otwieram drzwi, wchodzę do środka i widzę, że mój więzienny anioł stróż zatrzymał się pod oknem na korytarzu. Drzwi zupełnie spokojnie zamknąłem i potem błyskawicznie i jak najciszej wszedłem do łazienki, klucz przekręciłem i hop na okno za zasłonę. Znalazłem tam latarkę elektryczną i mimo zasłony okno otworzyłem bez trudu. Trzy razy błysnąłem latarką i żadnej odpowiedzi w nieprześwietlonej ciemności. Tęgo

Tego momentu, gdy stanąłem na oknie, chyba nigdy nie zapomnę. Za mną więzienie, badana i Ponary, przede mną wolność i koledzy. Skoczyłem w tę ciemność, odniosłem wrażenie, że za długo lecę, ale szczęśliwie wylądowałem. Okazuje się, że źle oceniłem odległość, teren szedł pochyło i okno w łazience było dużo wyżej aniżeli w ustępie. Tylko się podniosłem z ziemi, gdy ktoś do mnie przyskoczył i podał mi kurtkę i pistolet. Po wielkości i ciężarze wyczułem belgijską trzynastkę kaliber 9 mm, pistolet policji litewskiej. Biegniemy w stronę trupiarni, gdzie była odbita deska w ogrodzeniu. Po drodze słyszę głosy obstawy: Wszystko w porządku! Przy płocie znalazł się Wilk, okazuje się, że wlaź na stróża szpitalnego, Gdy ten go zaczepił, cota robi na terenie szpitala, Wilk podstawił mu pod nos pistolet - panie ja też Polak i odszedł. Niedaleko za płotem czekał samochód Stracha, już trzeci wieczór tutaj czekał na mnie. Przy samochodzie Stary, jak myślny Wilka nazywali, kazał się wszystkim rozejść, zdenerwowany szukał swojej teczki. Gdy mu ją podali nareszcie wsiedliśmy do samochodu i ruszyli bez świateł. Po kilkudziesięciu metrach ruszyliśmy o włos wpadlibyśmy na żelazną barierę, w ciemności zupełnie nie widoczną. W ostatnim momencie Strach gwałtownie zahamował i zadusił motor. Przez długi czas na próżno piłował rozrusznikiem. Ja zaproponowałem wyjść i spróbować zapalić korbą. Na szczęście motor w końcu zaskoczył. Zdenerwowanie było uzasadnione, z przodu gestapo, z prawej więzienie, z lewej szpital, w którym strażnik pewno zrobił już alarm. Ulicę Mickiewicza i przez most pojechaliśmy na Zwierzyniec. W samochodzie szybko się przebiegałem, wszystko było prócz marynarki - drobiazg w tej sytuacji. Przez Sniposzki, przecinając ulicę Kalwaryjską zostaliśmy się na Pióromont. Tutaj zatrzymaliśmy się, podziękowali i porzegnali Stracha. Teraz zorientowałem się, gdzie mnie Stary chce ulokować. Legalizacja miała tu swój lokal podziemny w oddzielnym dworku. nad Wilią, Połowa piwnic została odcięta od reszty, wejście było zrobione przez salon, bogato umeblowany antykami. Jeden z kwadratów parkietu pod dywanem za pociśnięciem sprężyny w murku w plintach pod ściąg/szydłem/ otwierał się i to było jedyne wejście do tych pomieszczeń. Elektryczność i woda była niezależnie doprowadzona nalewo. Były tam trzy pomieszczenia: cynkografia, pracownia fotograficzna i wykończalnia pieczętek wraz ze stołem dla grafika i prasami do odbijania blankietów z płyt cynkograficznych. Przychodzić i wychodzić mogli pracownicy tylko gdy noc zapadła. Niesamowite wrażenie robiła ta pracownia wewnątrz. Po katach łóżka i prycze do spania, na stołach pieczęcie w robocie, blankiety, narzędzia najrozmaitsze, pistolety, chleb i granaty wszystko to pomieszane razem. Wybitnie artystyczny nieład - plastycy tam pracowali. W takiej to melinie chciał mnie Wilk przechować na pierwszy okres. Osobiście nigdy tak ważnego i cennego lokalu nie narażałbym przechowywaniem spalonego człowieka. Pracownicy tego lokalu to pierwsi, jakich angażowałem do pracy konspiracyjnej jeszcze w 39 r. byli zarazem najbliższymi kolegami. Właścicielką tego lokalu była Halina Nowicka, żona rotmistrza, który wojował z Niemcami gdzieś tam na zachodnim froncie. Lokal ten w kilka miesięcy później został zasypany przez jednego z pracowników, który przypadkowo wpadł. Właścicielka tak jak stała uciekła z dziećmi i matką i z legalizacji przeniosła się do produkcji granatów. Niemcy orzekli, że lokal urządzony był jak w bajce i w gestapo urządzili specjalną wystawę z jego eksponatów. Do takiego to domu wchodziłem bez marynarki. W Starsza pani, żyta z formami towarzyskimi, była trochę zaszokowana moimi btakami w wizytowym stroju. Po pewnym czasie przyjeżdżał Piotr, konspiracyjny gospodarz lokalu - my jechaliśmy samochodem, a on wracał pieszo z wyprawy. Atmosfera była jak najlepsza, wszyscy byli zadowoleni z udanej ucieczki. Teraz dopiero dowiedziałem się, co było w teczce, o którą Stary denerwował się przy samochodzie. Wyciągnął z niej dwie konserwy i butelkę koniaku. Tak był pewny udanej akcji, że z góry przygotował to dla jej uczczenia. Panie przygotowały kolację i długo w noc ciągnęły się opowiadania. Atmosferę tego może zrozumieć ten, kto przeżył taki powrót prawie z tamtego świata. Wróć teraz do Zygmunta. Przez wiele lat takiej lisiej pracy wyrobił się w człowieku jakiś instynkt wyczuwania niebezpieczeństwa. W 42 roku będąc w Warszawie opanował mnie taki niepokój i przekonanie że w Wilnie nieszczęście. Natychmiast pojechałem spowrotem i na miejscu

dowiedziałem się o dużej wyspie 18-tu osób, między innymi Zygmunta i jego siostry. Znaleźli przy nich materiały konspiracyjne, groziło im wszystkim rozstrzelanie. Całą grupę uratowała wówczas matka Zygmunta, przekupiła, kogo trzeba złotem. Później była to najlepsza i najpewniejsza droga wykupu. Poważną i kulturalną matroną, wielką humanistką i patrijotką budziła zasze zaufanie i szacunek nawet u wrogów. Teraz mimo, że pojechałem do Wilna na legalną przepustkę, Zygmunt wysłał za mną na następny dzień kuryerkę. Przyjechała do Wilna, zaszła do jego matki i stwierdziła, że ja nie dojechałem. Trzy transporty wojskowe na tej trasie w tym dniu wyleciały w powietrze - zostały uszkodzone. Przez innego człowieka stwierdził, że mnie tam nie było, jak również, że nie zostałem aresztowany na granicy. Zupełnie logicznie doszedł do wniosku, że zostałem aresztowany na dworcu w Wilnie. Wiedząc już, że siedzę, postanowił przyjechać do Wilna i próbować mnie wyciągnąć albo odbić. Przekazał sprawę bazy zastępcy, zameldował że jedzie do Wilna i w drogę. On dla odmiany jeździł w mundurze lotniczym, gdyż miał dokumenty organizacji pomocniczej wojskowej zyc maskowania lotnisk w M^onsku, Lidzie i t. Cała organizacja znajdowała się w rękach polskich, dysponowali własnymi samochodami. W drodze trafił go jedynie problem, jak szybko trafić do moich chłopców z bronią. Do Wilna przyjechał późnym wieczorem, na stacji wsiadł do dorożki i kazał się zawieźć na ulicę Kalwaryjską. Jechał w mundurze niemieckim pod obgym nazwiskiem w nocy przy kompletnym zaciemnieniu, gdy zapytał, ile ma zapłacić za kurs, dorożkarz odpowiedział: panie Augustowski, pan wie, ile należy się za taki kurs. Nie wiele! Była warta konspiracja, gdyby jeżeli zwykły dorożkarz po cieżaku rozszyfrował wilniuka nawet w mundurze niemieckim. Przyjechał na trzeci dzień po mojej ucieczce, o czym od razu się dowiedział, jak i ja również o jego przyjeździe. Bardziej radosnej wiadomości nie mogło być dla mnie. Już na drugi dzień wieczorem, gdyż w dzień nie mogłem się poruszać po Wilnie, oznaczyliśmy sobie spotkanie. Nie będę się nawet silił na opisanie powitania, pytań, odpowiedzi - nieliczne były takie szczęśliwe dni w czasie wojny. Niemcy zzbogaciliżowali znaleziony adres. Każdy, kto pracował w konspiracji, wie dobrze, jak wielkie znaczenie miała obawa, by swoim postępowaniem nie narazić, nie zasypać kogoś, nie zaszkodzić sprawie. Zdawałem sobie sprawę, że pierwszą i ostatnią przyczyną ucieczki było zagrożenie Zygmunta. Nie stało się tak, jak mi sugerował bojący się dyżurny. Wilkowi od razu postawiłem alternatywę: albo mnie wyszle od razu do oddziałów leśnych, albo na pracę konspiracyjną do Warszawy. Rostrzygnął krótko: pozostaniesz na miejscu, nie wolno będzie poruszać się w dzień po ulicach Wilna. Rezultat wdzień urzędowałem na zmiennych lokalach, chodziłem dopiero po zapadnięciu zmroku. Gdy zaszła konieczność, przerzucałem się małym fiacikiem '507. Zawsze z przyjemnością wyjeżdżałem do oddziałów leśnych, odbywało się to coraz częściej, by wreszcie w końcu maja 44 r. wraz z całym sztabem przenieść się na stałe w teren i zacząć nowy rozdział już otwartej walki z wrogiem.

Podam jeszcze dodatkowo, że profesor chirurg po mojej ucieczce powiedział: teraz wiem, dlaczego poniedziałek u niego jest pechowy. Koleżanki z gestem sklepiły jakiś tort i pośrednio podały mu go w dowód wdzięczności za lojalne podejście do mojej choroby. Siostrze gospodarce po pewnym czasie odesłano ubiór szpitalny, mało tego mieli, ona zaś moje ubranie. Żandarmeria natatywała adres na ul. Chocimskiej 20, gdzie byłem zameldowany. Właścicielka Hanka Olszewska, nie wytrzymała nerwowo tych nagabywań o mnie i uciekła do Krakowa. Po pewnym czasie, gdy się już wszystko uspokoiło, odwiedziłem jej matkę staruszkę, by odebrać rzeczy osobiste. Miałem pecha. Akurat przyjechał tam żandarm rowerem, by spytać, czy nie przyszedłem. Soczyłem so przedpokoju, który był zamieniony na spiżarkę, odbezpieczyłem pistolet i czekałem. Jeżeli wejdzie, to jego śmierć. Staruszka powiedziała, że się nie pokazałem, że jest chora a wyglądała na taką w tej sytuacji. Rewizji nie robił, zabrał rower i pojechał. Rower postawił obok mego, tylko do głowy mu nie przyszło zapytać, czyj to rower.



A. Młickiewicz